

Trzema rzekami Francji w stronę Atlantyku

Celina Mróz, Jarosław Frackiewicz

Po 32 godzinach jazdy autobusem wysiadamy w Lyonie. Wyładujemy nasz ekwipunek: dwa składane kajaki, namioty, śpiwory, karimaty – osiem olbrzymich worów. Ania zostaje na straży bagaży, a my w trójkę idziemy kupować bilety do miasta Brive nad rzeką Correze, około 300 km na zachód, gdzie – jak zdecydowaliśmy – zacznie się nasz spływ.



Miasteczko jak z bajki – Limeuil u zbiegu Vezere i Dordogne.

SPŁYW W PIGULCE

Trasa

Rzeki w południowo-zachodniej Francji (łączy dystans – 180 km):

- Correze od miasta Brive (10 km),
- Vezere (85 km),
- Dordogne do miasta Sainte Foy la Grande (85 km).

Termin

Od 29 czerwca do 20 lipca 2003 r.

Trudność

Najwyższa trudność na spływie – WW II (Correze), choć również na Vezere i Dordogne należy spodziewać się szeregu bystrzy (miejscami przypominające bystrza na Dunajcu).

Dojazd

Proponowany: autobusem firmy „Intercars” Warszawa – Bordeaux, należy wysiąść w Brive, gdzie rozpoczynamy spływ. Po zakończeniu spływu dojazd do Bordeaux i z powrotem autobusem do Warszawy (840 zł w obie strony) – wariant niezrealizowany z powodu braku biletów.

Zrealizowany: autobusem z Gdańska do Lyonu (670 zł w obie strony), z Lyonu do Brive pociągiem (37 euro), z Saint Foy la Grande do Lyonu pociągiem z kuszetką (72 euro).

Noclegi

10 dzikich biwaków, 7 na kempingach.

Sprzęt

Dwa składane rosyjskie Tajmienie wyposażone w wózki.

Zwiedzanie

Miasteczko Montignac z pobliską jaskinią Lascaux II z prehistorycznymi malowidłami, zamek de Losse, wioska Saint Leon, skała św. Krzysztofa, miasteczko Limeuil u ujścia Vezere do Dordogne, miasto Bergerac, wycieczka do zamku Monbazillac.

Koszt całkowity

2200 zł/osobę.

Biwak na placu Carnot w Lyonie

Olbrzymi dworzec kolejowy oraz autobusowy miasta Lyon – kilka poziomów, galerie, estakady. Pięć godzin zabiegów zajmuje nam znalezienie właściwych okienek, stanie w kolejkach, przepytanie dwóch pań w informacji kolejowej oraz pana w autobusowej. Teraz nasza sytuacja jest jasna: autobusem do Brive nie pojedziemy, bowiem we Francji komunikacja autobusowa funkcjonuje wyłącznie albo jako miejska, albo międzynarodowa. Wieczorny pociąg do Brive, objęty całkowitą rezerwacją, ma wszystkie kuszetki wykupione. Decydujemy, że pojedziemy porannym o 6:22, czyli spędzimy noc na dworcu w Lyonie.

Rozpoznając drogę transportu naszych wózków z poczekalni autobusowej do kolejowej, stajemy oko w oko ze straszliwą prawdą: dworce są na noc za-

mykane – autobusowy o 22:00, kolejowy o 24:00, a otwierane dopiero o 5:00 i wszyscy muszą na noc je opuścić. Nocleg w hotelu lub schronisku nie ma sensu. Dochodzi 22:00, na peronie musimy się stawić o 5:30 i zanim znajdziemy coś na naszą kieszeń, będziemy musieli wracać.

Co robić? Wychodzimy przed dworzec. Jest piękny letni wieczór, bardzo gorąco, 25° C. Przed nami rozciąga się plac Carnot; dużo zieleni, drzewa, trawniki, monumentalne rzeźby. Pod wielkim platanem przygotowuje się do snu liczna rodzina, czy to Cyganów, czy Arabów. Trochę dalej popijają piwo swobodnie rozłożone na murawie grupy młodzieży. Decydujemy się na spędzenie tu nocy. Wybieramy olbrzymie, niezające drzewo iglaste, tuż przy stolikach czynnej, rozświetlonej kawiarni. Sądzimy, że tak będzie bezpieczniej.





Fot. Celina Mroz

Jak kajaki nad skarpą latały...

Wygodnie rozciągamy się na karimatach obok naszych wózków, szykując się do snu. Niestety, zaczyna kropić. Coraz mocniej i gęściej. Wiesiu rozkłada nad bagażami tropik. My również chowamy się pod nim, niewygodnie przytuleni do worów. Deszcz leje, raz po raz zimna stróżka cieknie mi po twarzy, wpływa za kołnierz. Jest niewygodnie, robi się mokro. Jarek podejmuje ryzykowną decyzję – rozbijamy namiot. Po chwili wchodzimy w czwórkę do środka. Teraz jest sucho i ciepło. Wiesiu i Ania beztrudnie zasypiają, a ja czekam z niepokojem, że zaraz przyjdą policjanci i nas zdejmą. Kto stawia namiot na centralnym placu Lyonu, tuż przy głównym dworcu? Jarek deklaruje, że będzie czuwał. Zasypiam, po godzinie się budzę; teraz ja będę pilnować. Wokół wałęsają się jacyś osobnicy. Każdego się obawiam, ale najbardziej boję się policjantów. Przygotowuję sobie po francusku wypowiedź, która ma ich przekonać, że nie mieliśmy innego wyjścia jak rozbić się pod dworcem.

Nagle przerażona zauważam pośród drzew jednokolorowe uniformy z fosforyzującymi napisami na plecach. Już chcę alarmować, ale w ostatniej chwili zmieniam decyzję. Obudzę śpiących, kiedy do nas podejść. Po denerwującym kwadransie przychodzi uspokojenie. Rozpoznaję sprzątaczy, którzy nami wcale się nie interesują. Deszcz ustaje. – Jak wytłumaczę policji postawienie namiotu, jeżeli nie pada? – martwię się znowu wystraszona. Na szczęście około trzeciej zaczyna się kolejna gwałtowna ulewa. – Policjanci nie będą patrolować w taką psią pogodę – dochodzę do wniosku. Zmęczona czuwaniem przykładam głowę do sandałów i zasypiam.

O piątej pobudka. Postępując, wstajemy. I raptem radość – udało się, przetrwaliśmy noc! Teraz szybko na dworzec i w drogę. Po południu będziemy nad rzeką.

Jakim pięknym krajem jest Polska. Zbłąkany, nie dość przewidujący podróżnik może zawsze w nocy schronić się, przedzierać na dworcu. Wolę nasze porządki.

Etap górski

W Brive na kempingu spędziliśmy dwa dni i przed rozpoczęciem spływu obejrzelśmy Correze, która jest zaliczana do rzek górskich. To się zgadzało, jej koryto było się grzędami głazów, tylko wody było w niej

mało. Decydujemy, że póki poziom się nie podniesie, popłyniemy sami, a dziewczyny będą nam towarzyszyć, obserwując z wysokich bulwarów nasze poczynania.

Znieśliśmy kajaki na rzekę, spakowaliśmy się i ruszyliśmy. O dziwo, spływanie nie było trudne. Wody tyle, że można kajakiem sterować, szukać przejść pomiędzy grupami kamieni. Spływam, stosując nieodmiennie promowanie do tyłu. Prąd nie jest szybki, więc ta technika jest skuteczna. Kajak, chociaż długi, cofa się i schodzi na lewo bądź na prawo na tyle, by można było ustawić się do jakiegoś żywego przepływu między kamieniami. Z rzadka wychodzę z kajaka, żeby ściągnąć go z kamieni.

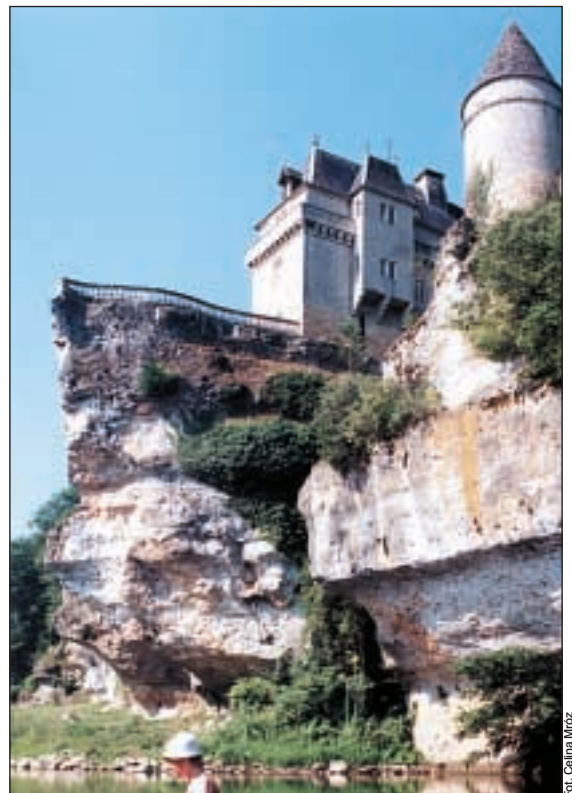
Za miastem wody było już tyle, że mogliśmy zabrać na pokład idące brzegiem nasze panie. Spływając dalej bez przeszkód górską Correze w pełnym składzie, niebawem weszliśmy na Vezere, kończąc górski fragment naszego kajakowania. Vezere, jak i Dordogne, na którą niebawem wpłynęliśmy, nie uważa się za górską rzekę. Niemniej, kiedy znalazłem się na Vezere miałem wrażenie, że jestem na Dunajcu pod Krościenkiem – szybka woda przepływająca zakolami w dolinie, nad którą malowniczo rysowały się zalesione wzniesienia. Obie wspomniane rzeki są podobne. Płyną w głębokim jarze, który często przeradza się w wysoką na kilkadziesiąt metrów skałę. Charakteryzują je częste, szybkie bystrza. W praktyce wygląda to tak, że płyniesz sobie rzeczką rozglądając się wokół, aż tu z daleka słyszysz szum wody. Przed tobą w oddali jakiś zakręt, ginący za białą piaszczystego brzegu, w tle wzniesienia. Wiesz już, że przyjdzie wpłynąć w bystrze. Takich miejsc obie rzeki mają dziesiątki i to między innymi czyni te wody popularnymi. Płyne się nie tylko lekko, ale i z dreszczykiem emocji.

Na naszej trasie pamiętymi pozostaną dwa długie bystrza, które przepłynęliśmy w iście slalomowym stylu. Śmiało klasyfikuję je jako WW II. Jedno przed Monti-

gnac, na Vezere, drugie niemal w środku Lalinde, przez które przepływa Dordogne. Ciągające się na parę kilometrów najpierw były dla nas zaskoczeniem, że raptem taka woda, po czym następowała pełna koncentracja i prawdziwa kajakarska robota. Najwięcej emocji wzbudzało napływanie burtą na jakiś głaz; już, już mieliśmy w niego uderzyć, lecz w tej samej chwili ją kontrą, a Celina uderzeniem wiosła do przodu „wprostowywaliśmy” kajak przed zabójczym głazem i mając go daleko w tyle przzymierzaliśmy się do kolejnego zadania. Szło nam chyba dobrze. Na pierwszym bystrzu biła nam brawo przechadzająca się brzegiem para, zaś naszym popisem w Lalinde przyglądały się grupy kąpiących się, zaskoczone nagłym pojawieniem się pośród nich kajaków. Tutaj „jazdę obserwowaną” zakończyliśmy w samym mieście, niemal na środku rzeki. Rozlana szeroko, u swych brzegów była tak płytka, że obciążone sprzętem kajaki nie mogły do niego dotrzeć. Przywiązaliśmy je tuż obok nurtu do kamieni, których było wokół pełno i rozentuzjasmowani, jeszcze nie rozluźnieni po przeżytych emocjach, brodząc po wodzie osiągnęliśmy brzeg, rozpoczynając w ten sposób obchód miasteczka.

Bez wózków ani rusz

Spływ to nie tylko bystrza i progi, ale również kilkukilometrowe zalewy zapowiadające tamę, z czym, rzecz jasna, związane są przenoski. Od młynów i elektrowni ucieczki na Zachodzie nie ma. Mając dostatecznie pogłębione doświadczenia „przenoskowe” z niemieckiego Dunaju, ciekawi byliśmy, jak nam z tym pójdzie we Francji. Na Vezere i Dordogne zmierzaliśmy się bodaj z sześcioma takimi przeszkodami. Nowe wrażenia i nauki przyniosły nam zapory na Dordogne. Rzeka duża, a zatem i skala tych budowli odpowiednio większa. Zapory budziły uznanie swym ogromem. Z tych miejsc można było ocenić,



Fot. Celina Mroz

Nad Vezere też są zamki – zamek Belcayre.

w jak głębokim jarze płynie rzeka, jak duża jest różnica poziomów wody przedzielonej niebotyczną zaporą. Ale za takie dziwne przyszło nam słono płacić. Objazd tych elektrowni był zawsze liczony na 2 lub 3 km. I to jest moje najdonioślejsze doświadczenie zrodzone z objeżdżania elektrowni na Dordogne. Przenoska na 3 km!

Praktycznie wyglądało to tak: dobijamy do brzegu, jest mniej lub bardziej wygodnie, w pobliżu tablica informująca o przebiegu przenoski. To dobra praktyka, wiemy od razu, co nas czeka. Wyciągamy kajaki z wody, ładujemy na wózki i wyznaczoną drogą rozpoczynamy mozolną wędrówkę. Faktycznie wózko-kajak toczy się po asfalcie, a nie ścieżce kajakowej – nie jest więc za ciężko, ale zawsze parę godzin taki spacer nam zajmuje. Oczywiście, staraliśmy się przechytrzyć porządek rzeczy i zejść prędzej do wody, podejrzewając jakiś podstęp. Nic z tego, do wody naprawdę można dostać się dopiero po paru kilometrach drogi. Trzeba w tym miejscu jeszcze raz uczulić rzesze wybierające się na zagraniczne, samodzielne pływanie – bez wózków ani rusz. Owszem, na jednej z tych elektrowni czekali usłudźni, gotowi za ileś tam euro przewieźć nas do rzeki, ale to żadne rozwiązanie. Do samodzielności i pewności siebie „dojeżdża się tylko wózkami”.

Burza

Po powrocie do kraju pierwsze pytania dotyczyły owej burzy czy tajfunu, który przetoczył się w południowo-zachodnim rejonie Francji, wyrządzając wiele szkód. Pytano nas: namiotów wam nie porwało, deszczu was nie zalały, jak udało się wam z tego wyjść cało? Sprawdziłem dane: faktycznie, kiedy w naszej prasie opisywano dramatyczną walkę Francuzów z żywiołem, my biwakowaliśmy na wyspie za Bergerac, w rejonie objętym aktywnością tajfunu.

Wydawało się, że poza samym spływaniem nic więcej nie dostarczy nam mocnych przeżyć. Kto z nas mógł przypuszczać, że przyjdzie nam przez całą noc zmagać się z wichurą i ulewą, przechodzącą nad nami burzą, o sile i skali nie dającej się nam dotąd z niczym porównać?

Zaczęło się pod koniec udanego dnia. Palilo przez cały dzień nieznośnie. Tym bardziej cieszyliśmy się z biwaku na wyspie. Mieliśmy i zbawczy cień, i możliwość kąpieli, a raczej schładzania się w rzece do woli.

Kończymy właśnie kubek kolacyjnego wina, zaczynamy zaglądać do śpiwnika, szukając czegoś miłego dla ucha i wtem uświadamiamy sobie, że pogoda gwałtownie się zmienia. Niebo ciemnieje, nadszyciągają chmury, zrywa się porywisty wiatr. Szybciej zbieramy porozrzucane wokół namiotu graty, odwracamy kajaki. Wiatr przybiera na sile. Już wiem, że czekają nas mocne przejścia. Raz po raz przecinają niebo błyskawice, grzmi coraz mocniej. Niepokoję się o namiot. Luksusowy i wygodny zabezpiecza przed deszczem, ale nie lubi wiatru. Pręty z włókna szklanego są na silny wiatr zbyt elastyczne, gną się. Co będzie, kiedy nie wytrzymają i pękną? Z niepokojem stoję przy namiocie i śledzę, jak reaguje na wiatr. Jeszcze jest w normie, ale gdyby go lepiej ustawić, byłby bardziej stabilny. Z Celinką tę zmianę przeprowadzamy pośpiesznie, bo już pada. Szczęśliwie na wyspie nie jest równo, jakieś wykroty, pnie, wydmy porośnięte krzakami i trawą, można za czymś takim namiot ustawić. Siedzimy w nim ponownie, wsłuchując się w wichurę. Nie jest dobrze, dmucha coraz mocniej, boję się o pręty. Wychodzę na zewnątrz i przytrzymuję gnący się stełaż. Ile można jednak wystać, gdy deszcz już nie pada, a leje zacinając z ukosa, raz po raz gnany wiatrem?

Chowam się do namiotu, odkrywam, że można od wewnątrz podtrzymywać konstrukcję. Teraz razem z Celinką, każde ze swej strony, kłęczymy i trzymamy poprzez wewnętrzzną powłokę gnące się pręty. Jak długo? Póki wicher nie ucichnie. Nieważne, że niewygodnie i czas się dłuży, ważne to, że panujemy nad sytuacją. A na zewnątrz burza rozszalała się na dobre. Błysk i grzmot, błysk i grzmot, wszystko dosłownie nad naszymi głowami. Leje jak z cebra. To wszystko nic, niech sobie grzmi i leje, byle wiatr nie przybierał na sile. Nie wiem jak długo trwalibyśmy tak na stanowiskach, na pewno do momentu, kiedy odczuliśmy, że wiatr zelżał. Mogłem wówczas wyskoczyć z namiotu, poprawić poluzowane linki. To, że nadal

**PROMOCJA KAJAKÓW
TERAZ !**

zajrzyj na:
www.prokajak.com

lub zadzwoń:
tel. +12 423 35 02

 **Pro Kajak**
e-mail: prokajak@prokajak.com

lalo i grzmiało już nas nie niepokoiło. Wprost przeciwnie. Można było wreszcie położyć się i nasłuchiwać, czy idzie na lepsze. Koila pewność, że w namiocie jest sucho. Nad ranem zasnęliśmy.

Po przebudzeniu wybiegam z namiotu i stwierdzam, że nie jest źle, wichura żadnych szkód nam nie uczyniła. Słońce świeci, dzień zapowiada się ładny. Ze zdziwieniem odkrywamy, że położony z wierzchołka do góry kajak Wiesia został przez wiatr odwrócony i zalany deszczem. Zapewne wczorajsza czynność wykonał niezbyt starannie, kajak pozostał na skarpie w takiej pozycji, że „trochę leżał, trochę wisiał”. Jak silnie w nocy wiało, że nawet kajaki latały w powietrzu?

Gościna u francuskiego chłopca

Jesteśmy w bajecznych humorach. Jaka będzie ta Francja, z jakimi ludźmi się zetkniemy, jakie spotkają nas przygody? Po południu, zmoczeni kolejnym deszczem, decydujemy się na szukanie biwaku. Brzegi Vezere są strome, zarośnięte krzaczorami i pokrzywami. Na kilkumetrowej skarpie zauważam niepewny zarys ścieżki wędkarskiej. Z trudem wdrapuję się na górę. Za zasłoną nadbrzeżnych krzaków i drzew widzę rajski zakątek: zielona łąka ocieniona koronami starych jabłonek, w tle winnica. Pomna ostrzeżeń z przewodnika „Pascal” ruszam zapytać właściciela o pozwolenie na rozbicie namiotów. Cieszę się na rozmowę po francusku.

Za winnicą zauważam drewnianą szopę z przybudówkami, przy niej człowieka. Chłop francuski jak się patrzy: siedemdziesiąt lat, brzuchata postura, jowialna twarz, czerwonny nos. Uśmiecham się miło i opowiadam; jesteśmy Polakami, kajakarzami, chcemy postawić dwa namioty. Ku mojemu zaskoczeniu facet wcale nie jest zachwycony możliwością spotkania się z nami, goszczenia nas na swojej ziemi. Bierze mnie w krzyżowy ogień pytań. – Dlaczego chcemy postawić namioty właśnie u niego? Skąd wiedzieliśmy, że tutaj jest łąka? Jak odgadł, że on akurat przyjechał. Wiję się jak piskorz, wyjaśniam to, czego wyjaśnić nie sposób. W końcu wieśniak niechętnie godzi się na nasze obozowisko.



Przenoska osłabia, piwo krzepi.

Po chwili nie wytrzymałam i przychodzi nas obejrzyć; kiedy pozostali stawiają namioty, ja bawię chłopą rozmową. Pół godziny konwersacji po francusku to przyjemność, a trzy razy po pół godziny? To już chyba tortura! Pośród anegdot i dowcipasów gospodarz zadaje mi pytanie. – Kiedy odpływamy? – Zazwyczaj około dziesiątej – wyjaśniam naiwnie.

Następnego ranka wieśniak stawia się o wpół do dziesiątej. Patrzy nam w miski, znacząco spoglądając na zegarek. O dziesiątej obie strony z zadowoleniem się żegnają.

Tym sposobem mój zapal do wpraszenia się na prywatne łąki zmalał do zera i odtąd wybieraliśmy na dzikie biwaki niedostępne skały, nie do przejścia gęstwiny i nie zamieszkałe wyspy.

Zdobywanie kempingów

Przybrzeżnych kempingów jest dużo, głównie na odcinku najbardziej popularnym, czyli od miasteczka Montignac nad Vezere do Bergerac nad Dordogne. Mile zaskoczyły nas ich ceny – 4 do 6 euro za noc na osobę. Z jednym nie mogliśmy się pogodzić, że wędrowny kajakarz ma duże trudności z dostaniem się na pole namiotowe od strony wody. Jest ono zazwyczaj odgrodzone od rzeki płotem, niedostępne z powodu wysokiej stromej skarpy zarośniętej gęsto nieprzebytymi krzakami. Zdobywania kempingów musieliśmy się nauczyć.

Pierwszą lekcję przedostania się z wody na kemping odebraliśmy w Montignac. Wiedziałam z przewodnika, że pole namiotowe rozciąga się na lewym brzegu Vezere, tuż za miasteczkiem. Rzeka płynie szybko, więc aby nie minąć miejsca postoju wysiadłam przy punkcie wynajmowania kajaków i idę dalej brzegiem. Znajduję kemping i schodzę do wody, aby wskazać miejsce pozostałym. Przedzieram się w dół stromego brzegu przez kolczasty gąszcz. Zatrzymuję płynącą ekipę i każę wspinać się do góry. – To tutaj! – mówię. Pozostali stukają się w głowę; wdrapywać się z kajakami po prawie pionowym zboczu, pośród klujących chaszczki i parzących pokrzyw? Na pewno musi być w pobliżu jakiś pomost, ścieżka, schodki. Nie było dokładnie nic, nawet widocznej z rzeki tablicy informującej o kempingu. Tylko wprawne oko trapera mogło zauważyć połamane

i przygięte zarośla w miejscu, gdzie przedostawali się nasi poprzednicy. Tutejszy kemping jest luksusowy: poszczególne pola otoczone gęstym żywopłotem zapewniającym intymność, ciepła i zimna woda, prysznice, pralnia, świetlica, telewizor, basen! Bardzo zdziwiona, że wśród takich zbytków nie ma prostego podejścia od strony wody, zapytałam o to kierownika kempingu. Wyjaśnił mi, że nie oplaca się inwestować w tereny od strony wody dla dziesięciu wędrownych kajakarzy na rok.

Spotkanie bratniej duszy

Szukając biwaku, późnym popołudniem wpływamy rzeką Vezere do Dordogne. Z prawej strony domki wzniesione w górę. Wiem z Internetu, że to malownicze miasteczko Limeuil.

U zbiegu rzek, w roju kajakarzy – tych z Vezere i tych z Dordogne, wre w naszym zespole ostra dyskusja: płyniemy dalej czy zwiedzamy. Uzgadniamy w końcu, że zjemy obiad na plaży i po krótkim odpoczynku damy radę wznoszącym się wysoko zaułkom.

Cumujemy „statki” pod mostem. O krok od nas starsza francuska para wyciąga z wody kanadyjkę. Zauważam ich kątem oka. Obok nas kłębią się dziesiątki rozwrzeszczanych młodocianych kajakarzy, do tego plażowicze i kąpiący się – jesteśmy anonimowi w tłumie. W cieniu przygotowujemy posiłek na gazowych butlach.

Chowamy garnki do worów i przekonani, że najbezpieczniej jest zostawić kajaki na widoku, tam gdzie są, pod mostem, chcemy ruszać na spacer. Starsza para kajakarzy ładuje kanadyjkę na samochód. Widocznie rozpoznali polskie banderki na rufach naszych kajaków, bo zagadują jakoś niezrozumiale, lecz ja od razu przechodzę na francuski. Są wyraźnie uszczęśliwieni, że nie muszą wypróbować swoich językowych możliwości.



Fot. Celina Mroz

Święto narodowe Francji 14 lipca spędzamy w Bergerac nad Dordogne.

Dowiaduję się, że płynęli Vezere z namiotami jak my. Nocowali wczoraj na wyspie, w odległości 100 m od naszego obozowiska! – Jaka szkoda, że nie podeszli? Myślny ich naprawdę nie zauważyli – myślę z zalem.

Mimoходом rozpoczęta rozmowa nabiera tempa. Słyszę ze zdumieniem, że na Vezere jest fatalnie, mało okazji na dzikie biwaki, nie to co na Loarze.

Ożywiamy się. – Francuzi lubią biwakować na dziko? Uwielbiają takie spływy? – Jak jest na Loarze? – pytamy. – Mnóstwo wysp, gdzie do woli można rozbijać namioty, spokój i bezludzie – zachwycają się. Nie możemy w to uwierzyć.

Teraz my opowiadamy, jak tutaj się znaleźliśmy. – Polacy mają fantazję, nie to co Francuzi – starszy kajakarz macha ręką. – Przyjechać składanymi kajakami autobusem i pociągami nad Dordogne – w jego głosie słychać podziw. Już wiem, że w zeszłym roku byli kajakami w Gwinei Francuskiej. My w rewanżu chwalimy się wyprawą nad Bajkał.

I dlaczego ja nie wzięłam od nich adresu, przecież moglibyśmy się wybrać razem na Loarę albo zaprosić ich na spływ do Polski. A tak rozstaliśmy się, życząc sobie banalnie szczęśliwej podróży. Oni do samochodu, a my w górę miasteczka.

Limeuil ma przy bulwarze kilka reprezentacyjnych budynków z czasów, kiedy było ważnym portem, a rzeką transportowano towary z głębi łądu do Bordeaux. Wyżej prowadzą wąskie, garbate uliczki, wzdłuż których pochylają się krzywe domki z ciepłego żółtego wapienia. Balkony są podparte, dachy omszałe, schodki zapadnięte, nic nie trzyma ani pionu ani poziomu. Więc dlaczego co chwila, jak inni turyści, wykrzykujemy – zobacz, jak pięknie! Dlaczego, jak inni zwie-



Fot. Celina Mroz

Jeszcze jeden schodek i będziemy na biwaku.

dzający, trzaskamy zdjęcia jedno za drugim? Ja jednak mimo zachwyty cały czas myślałam, że z parą kajakarzy – turystów już nigdy się nie spotkam, a przecież mogliśmy spędzić razem wieczór przy winie. Kamienne zaułki poczekałyby na nas te kilka godzin.

Zaczarowany jeleń z jaskini Lascaux

Jeszcze jest ciemno. Coś albo ktoś chodzi wokół namiotu. Zaspana przypominam sobie, gdzie nocujemy: niewielki występ brzegu u samej rzeki, szeroki na tyle, że można postawić dwa namioty, na boki zwiększa się, przechodzi w pionową 100-metrową skałę. Wydawałoby się, że jest to miejsce z lądu całkowicie niedostępne. Przy stanie wody wyższym chociażby o 10 cm nie moglibyśmy tu rozbić obozu. Skała nad nami, którą podziwialiśmy wieczorem, jest gigantycznej wysokości wafelkiem posklejanym z postrzępionych kamiennych warstw. Nikt ani nic nie mogłoby się od tej strony do nas dostać. Nasłuchuję... Chyba nie jest to człowiek, stąpa zbyt delikatnie, ale myszka też to nie jest. W śpiworze ciepło i przytulnie, lecz na zewnątrz coś łazikuje. Ciekawość zwycięża, decyduję się wyjrzeć z namiotu. Tuż przede mną płoszy się jeleń, wystraszony przeprawia się przez płytką Dordogne. Brązowo-czarny potężny tułów jelenia maluje się plamą na tle jaśniejszego świtem nieba. Jest dokładnie taki jak na malowidle w grocie Lascaux, gdzie byliśmy wczoraj, jakby zszedł na nocny wypas w rodzinne strony, a teraz gna, aby przed świtem wrócić na ścianę.

Bal w remizie

Do opróżnionej z wozów, otwartej na oścież remizy strażackiej dotarliśmy dokładnie o 21:00. Z zapleczca w rytm muzyki wypadł wąż dorodnych tańczących młodzieńców. Wszyscy w szkockich spódnickach, białych podkoszulkach przepasanych na skos szarfą w szkocką kratę, w białych podkolanówkach z pomponikami, na głowach założone hełmy. Tak strażacy dawali sygnał rozpoczęcia zabawy w wigilię Święta Zdobycia Bastylii w miasteczku Bergerac nad Dordogne. Przyszliśmy we właściwej chwili.

Remiza była jeszcze pusta, chętni do zabawy stali na chodniku w grupach rodzinnych i kumpelskich, pogadując i przytupując. Strażacy i strażaczki, w thaitańskich łańcuchach z kwiatów na szyjach i głowach, zajmowali się porządkiem i wyszynkiem. Dostępne było jedynie piwo i zimne napoje bezalkoholowe w małych plastikowych kubeczkach – wszystko w jednokrotnej cenie 1,5 euro. Ruszyłam z Jarkiem do baru. Jarek na migi droczył się z urodziwą strażaczką, że na-

łała mu piany na dwa palce, a należy na jeden. Fakt, dziewczyna nie miała wprawy, na co dzień przecież lala pianę z gaśnicy, a nie z saturatora.

Popijamy powolutku, obserwując towarzystwo. Przybyli goście to mieszkańcy przedmieść Bergerac. Wprawdzie stare miasto jest przepelnione zagranicznymi turystami, tutaj chyba oprócz nas nikogo z nich nie ma. Stroje przybyłych swobodne, niektóre panie wyglądają na mój gust prowincjonalnie. Czuliśmy się akurat na miejscu. Cała nasza czwórka miała na sobie krótkie spodenki i T-shirty. Mimo wieczoru było 30° C. Tańce rozkręcały się powoli. Pierwsze, jak i u nas, ruszyły dzieci. Z zaciekawieniem obserwowałam, że przyjęte są tańce pań w parach. Jarek rozpoznał chudzielca z sąsiedniego namiotu na kempingu, który wychodząc na miasto rzucił nam obojętnie: – Good night. Patryk przyłgnął do nas od razu, czy to z powodu urody Ani, czy było mu po prostu z nami weselej. Jarek zaprosił do tańca siedzącą obok panią i tak poznaliśmy małżeństwo farmerów spod Bergerac. Stolik był nasz.

Cała sala już szalała; dzieci, młodzi i starzy. Muzyka puszczana przez wodzireja nie pozwalała ustać w miejscu. Międzynarodowe przeboje i znane melodie francuskie wciągnęły do zabawy wszystkie pokolenia. Jarek i Wiesiu w znakomitych humorach i kondycji zauroczyli niejedną mieszkankę Bergerac. Bariera językowa im nie przeszkadzała, bo wspólnym językiem był taniec, muzyka i mowa ciała, jak wyjaśnił mi później Jarek. W trakcie zabawy podchodziły do mnie Francuzki dopytując się o pochodzenie, wiek i stan cywilny naszych panów. Strawstuję słowa znanej piosenki „O Polaku jak wino beztrojski, naciąłeś serc jak róż w kraju winorośli”. Taneczny krąg opuściliśmy o drugiej. Z nieodłącznym Patrykiem szliśmy w stronę kempingu przez rozbawione Bergerac. Spacer był urozmaicony, bo Jarek wyprawiał różne psoty. W kawiarence przy deptaku pożyczył od Cyganki akordeon i zagrał gościom rosyjski romans. Na ulicznej dyskotece zaplątał się przy parze gejów i dostałby pewnie lanie od zazdrośnika, gdyby Patrick nie wytłumaczył rozwścieczonemu, że Jarek nie jest rywalem, a nieświadomym miejscowych zwyczajów turystą. Odetchnęłam, kiedy szczęśliwie dotarliśmy do namiotów...

Ach, co to był za splyw! Na każdej wyprawie kajakowej zdarzy się zawsze coś, czego jest albo za mało, albo za wiele. Uniknąć tego nie da się, wyjeżdża się przecież po przygodę. Tym razem we Francji mieliśmy wszystkiego na miarę, w sam raz. Trafiliśmy na wodę, na której powtórka z Irkutu nie groziła, niemniej nie nudziliśmy się. Szlak był nieporównanie lżejszy niż Dunaj w Niemczech, na którym zmagaliśmy się z przenoskami, choć nasze wózki i we Francji toczyły się tak blisko, że już, już moglibyśmy narzekać na nudę kempingów, wszędzie obecne samochody itp., ale umieliśmy odizolować się od niej. Tak można by o wszystkim. Mam tylko wątpliwości, czy wina nie wypiliśmy w słodkiej Francji za mało. Ale czy może ktokolwiek z nas szczerze powiedzieć, że wina było dosyć?



Tutaj o świcie pokazał się jeleń z Lascaux.

KAJAKI SKŁADANE
2- / 3-OSOBOWE
TAJMIEN



WYJĄTKOWO LEKKI



MNÓSTWO MIEJSCA NA BAGAŻE



NA KAŻDĄ WODĘ
I POGODĘ !!!

00-820 Warszawa, ul. Sienna 55
tel. (022) 620-19-23

ul. Połczyńska 93, tel. (022) 666-24-20

05-825 Grodzisk Mazowiecki
ul. Królewska 51, tel. (022) 755-54-28

e-mail: inplustm@poczta.onet.pl